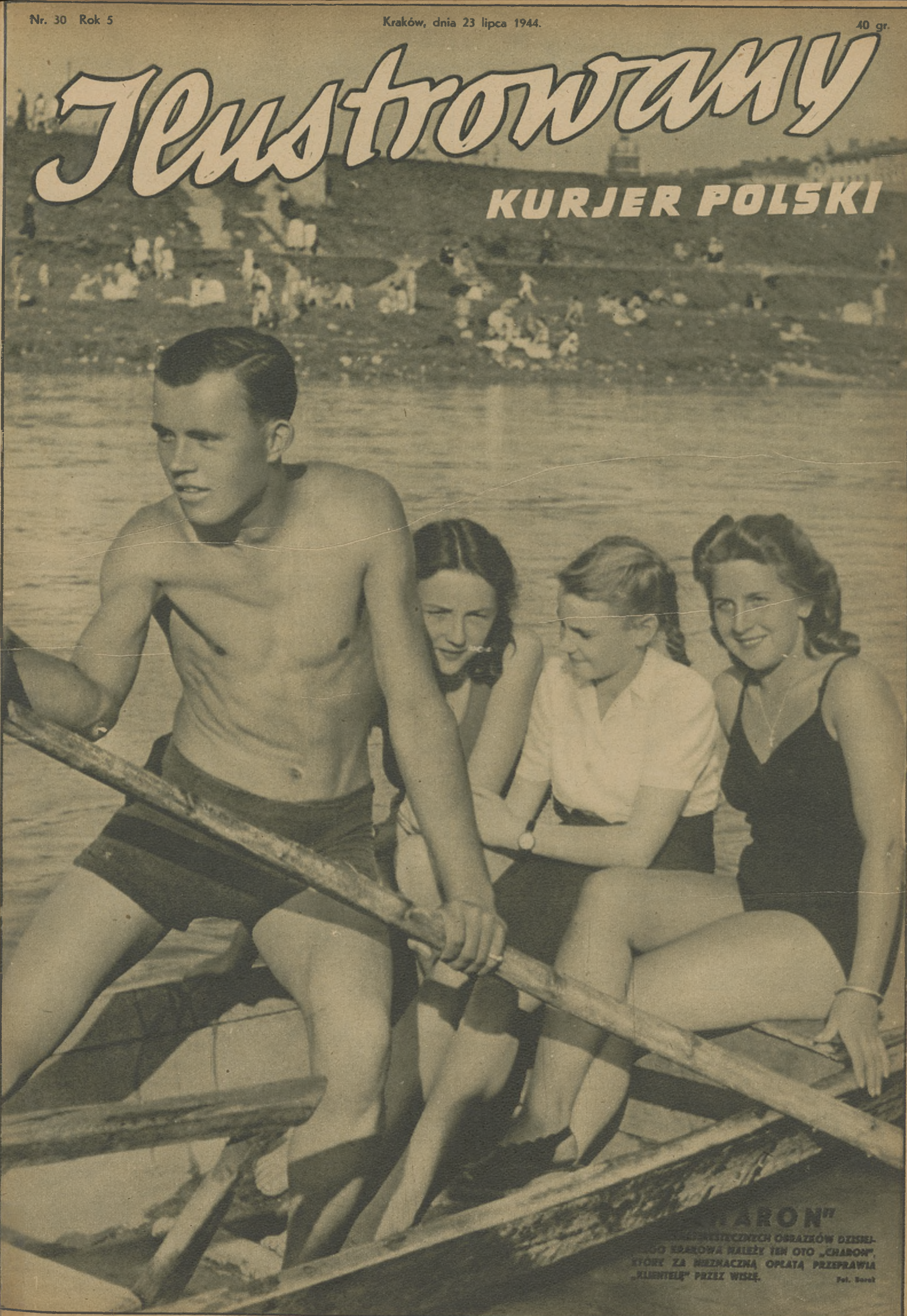
Nr. 30 Rok 5 Kraków, dnia 23 lipca 1944. 40 gr.

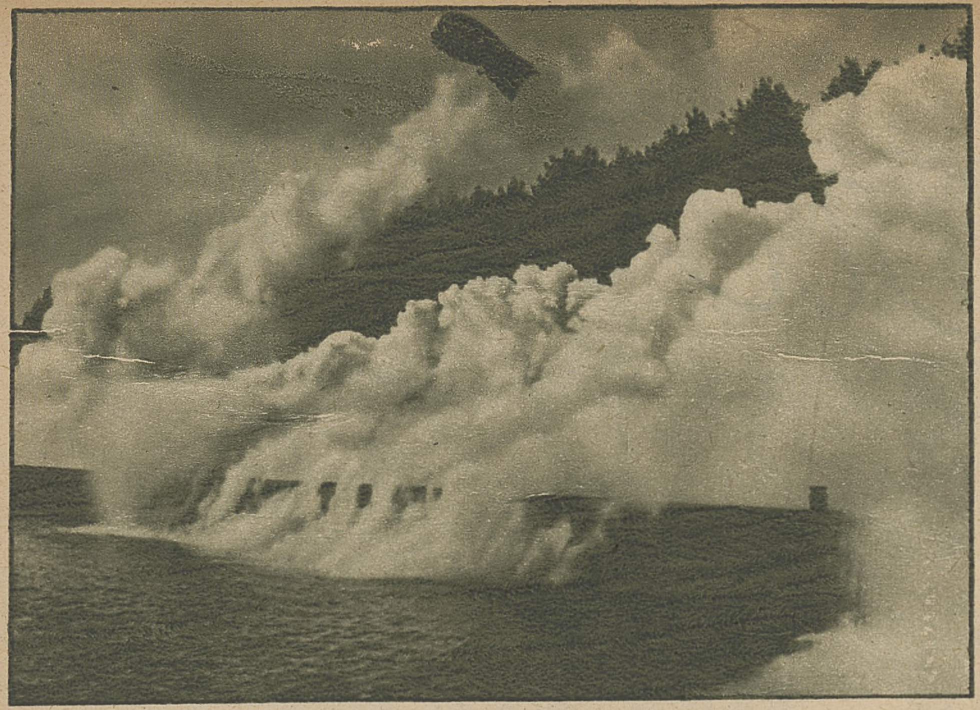
Ilustrowany
KURJER POLSKI



[illegible]ARON"

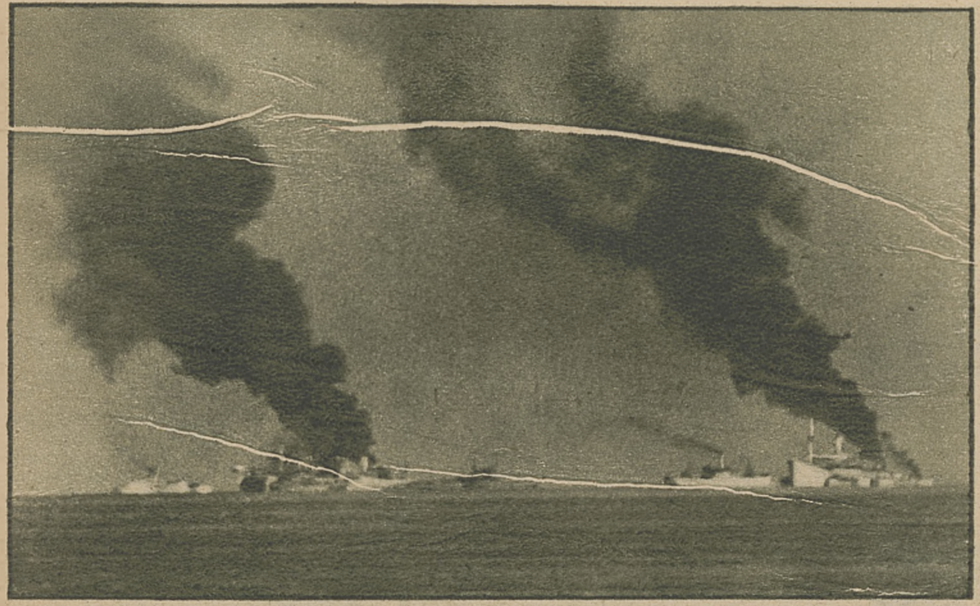
[illegible]STECZNYCH OBRAZKÓW DZISIEJ-[illegible]GO KRAKOWA NALEŻY TEN OTO „CHARON", KTÓRY ZA NIEZNACZNĄ OPŁATĄ PRZEPRAWIA „KLIENTELĘ" PRZEZ WISŁĘ.

Fot. Borek



Powyżej:
Niemiecka marynarka wojenna zasnuła gęstą mgłą urządzenia portowe, by je uczynić niewidzialnymi dla oczu nieprzyjaciela.

Poniżej:
Niemiecka artyleria ostrzeliwuje przed wybrzeżem Normandii brytyjskie parowce transportowe. Dwa angielskie okręty płoną ugodzone celnymi strzałami.

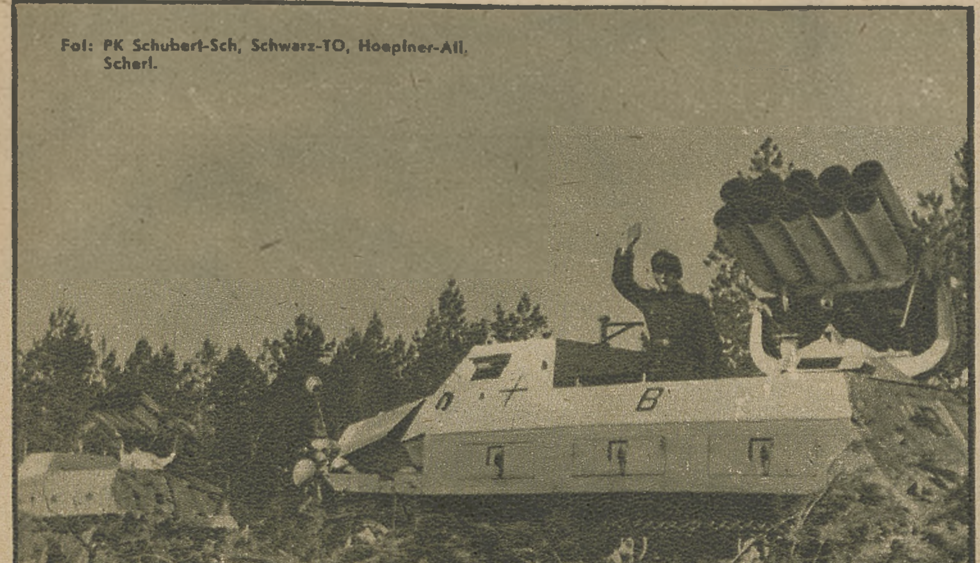




Powyżej:
Fińska piechota ustawia na pozycji ciężki miotacz granatów.

Poniżej:
Niemiecka bateria miotaczy mgły przed walką.

Fot: PK Schubert-Sch, Schwarz-TO, Hoepner-Atl, Scherl.





Oddział zwiadowczy grenadierów ϟϟ w Normandii przeszukuje teren. Z największą ostrożnością posuwają się żołnierze naprzód.



Pod Carentan



W pierwszej linii bojowej! Dowódca niemieckiego oddziału obserwuje przez lornetkę pozycje przeciwnika.



Powyżej:
Teren staje się coraz bardziej bagnistym, Tylko z największą ostrożnością i trudem można się posuwać krok za krokiem.

Na prawo:
Na horyzoncie nieprzyjacielskie bombowce. Niemieccy grenadierzy ukryci za murem bacznie obserwują ruchy samolotów.

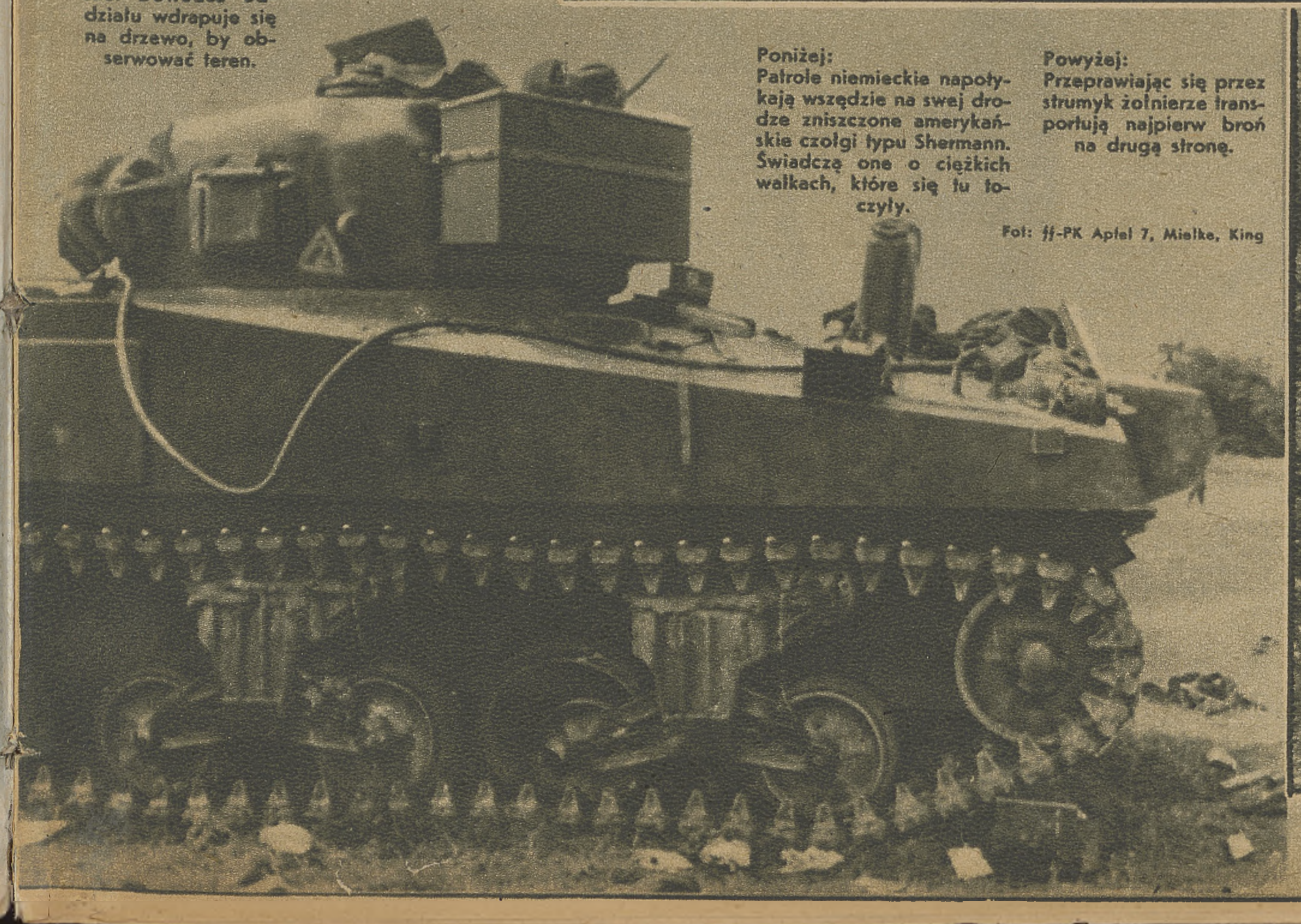






Na lewo:
Droga prowadzi niekiedy przez gęsty las. Grenadierzy posuwają się cicho jak duchy, unikając każdego szmeru, gdyż nieprzyjaciel jest blisko. Dowódca oddziału wdrapuje się na drzewo, by obserwować teren.

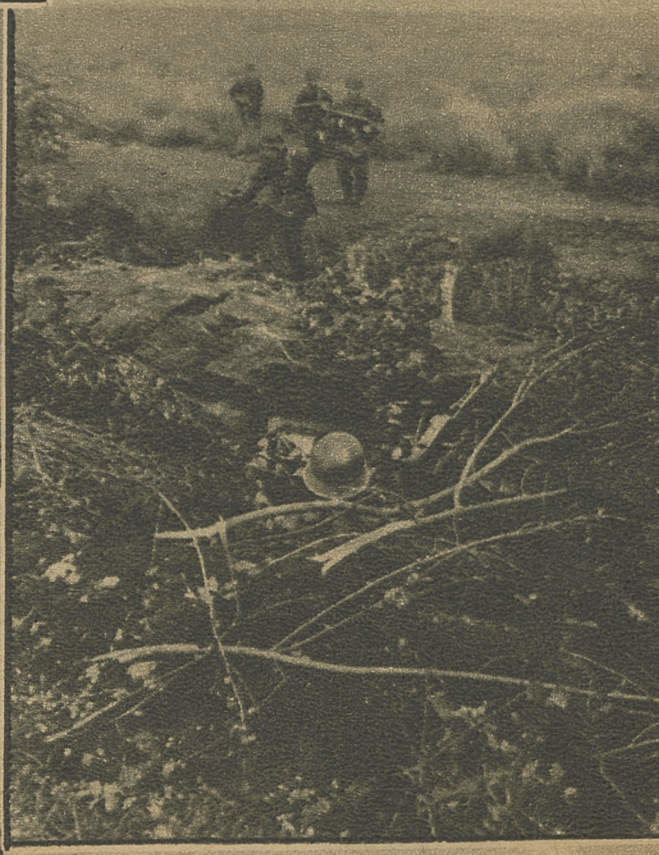
Powyżej:
Teraz droga prowadzi przez błotnistą łąkę. W grząskim bagnie ruchy są mocno utrudnione, ale żołnierze pokonają każdą przeszkodę.



Poniżej:
Patrole niemieckie napotykają wszędzie na swej drodze zniszczone amerykańskie czołgi typu Shermann. Świadczą one o ciężkich walkach, które się tu toczyły.

Powyżej:
Przeprawiając się przez strumyk żołnierze transportują najpierw broń na drugą stronę.

Fot: ϟϟ-PK Apfel 7, Mielke, King



Oddział niemieckich zwiadowców po spełnieniu wyznaczonego zadania wraca na własne pozycje.

POZNAĆ PANA PO CHOLEWACH

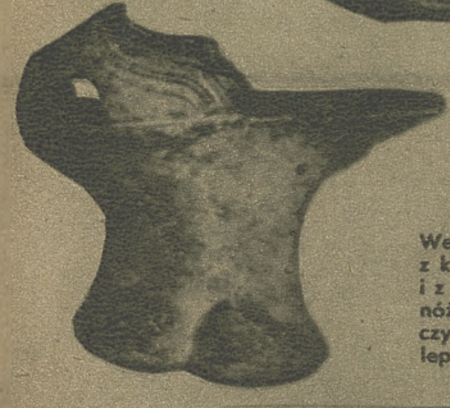




Na prawo:
Obuwie z czasów wędrówki ludów skrojone z kawałka skóry wołowej. Grunt to wygoda, wytrzymałość i lekkość materiału.

Poznać pana po cholewach". Kto by jeszcze nie wierzył w prawdziwość tego przysłowia, może przekonać się, gdy zobaczy serię obrazków z dawnymi formami obuwia, przechowywanymi teraz tylko jeszcze w muzeach lub na ilustracjach. W każdej epoce były inne formy obuwia, każdy stan, naród, każda klasa ludzi starała się wyróżnić od innych kształtem swojego obuwia. Dla jednej lub jednego długość „nosa" była zbyt powszednia, więc wydłużała go sobie niecodziennie, inna była niezadowolona z wysokości obcasów mało wyróżniającej ją ponad pospolitość, więc wydłużała je do możliwych i niemożliwych granic. Niepospolitość w zakresie kształtu nosa i obcasów to jeszcze nic, są jeszcze inne możliwości wybicia się oryginalnością ponad inne rywalki: materiał. Oprócz skóry zwierząt domowych dzikich, krajowych i zagranicznych, mamy jeszcze różne swojskie i egzotyczne gady i płazy. Ile było i jest różnych materiałów tkackich na świecie, wszystkie one miały zastosowanie do celów upiększenia nóżki kobiecej. A ile jest różnych sposobów szycia, przybrania, kolorów, które znajdą zastosowanie do wyrobu pantofelków? Inne buciki nadają się na spacer, a inne do kościoła, inne do teatru, a inne na bal, inne do sportu łyżwiarskiego, a inne do narciarstwa, inne do biegu, a inne do sportu wodnego, inne do turystyki, a inne do myślistwa i rybołóstwa. Niektóre zawody wymagają odrębnego obuwia, np. wojsko ma swój rodzaj obuwia. I tutaj także panuje specjalizacja: ułan za nic nie pokaże się w butach piechoty, a oficer w butach zwykłego żołnierza.

Powyżej:
Buty perskiego księcia z 1600 r. Oryginalność ich polegała nie tylko na kształcie, ale i na materiale: skóra... z rekina, kolor wiosennej zieleni, ozdoby z szlachetnego metalu. Obcas podobny do racic kozlich służył za ostrogę.



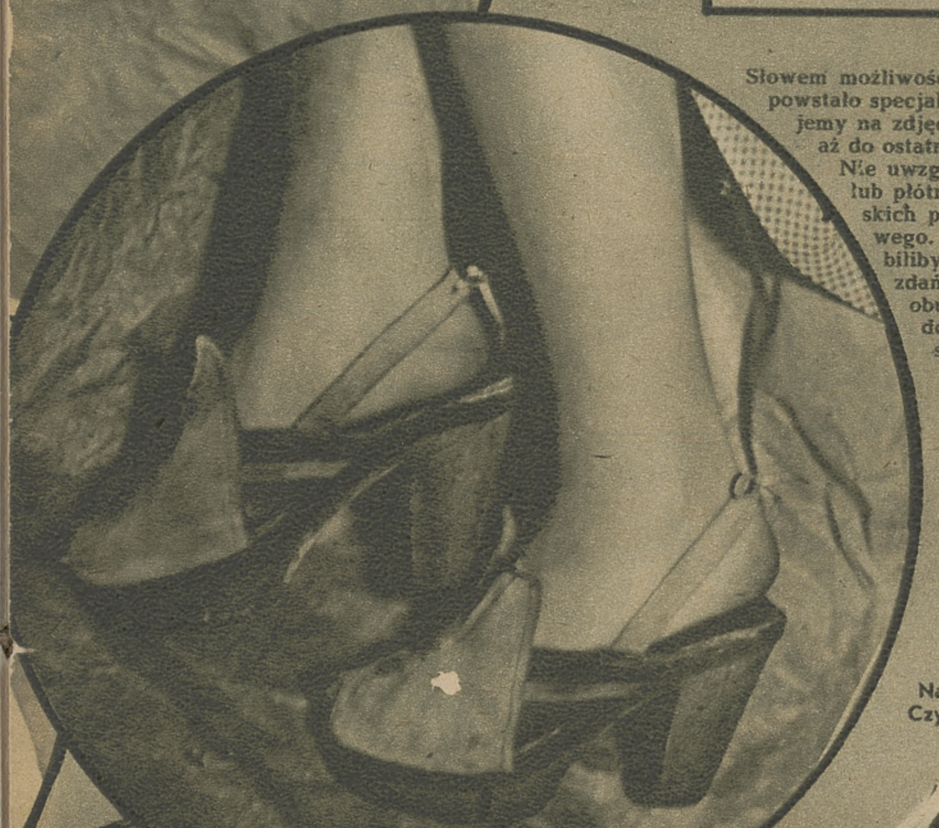
Na lewo:
Na tych oto „szczudłach", dochodzących nieraz do półmetrowej wysokości, chodziły piękne Wenecjanki. Były zrobione z korka i białej oślej skóry i z pewnością — zwłaszcza gdy nóżka była sobie wcale do rzeczy — prezentowały się nieco lepiej, aniżeli na zdjęciu.

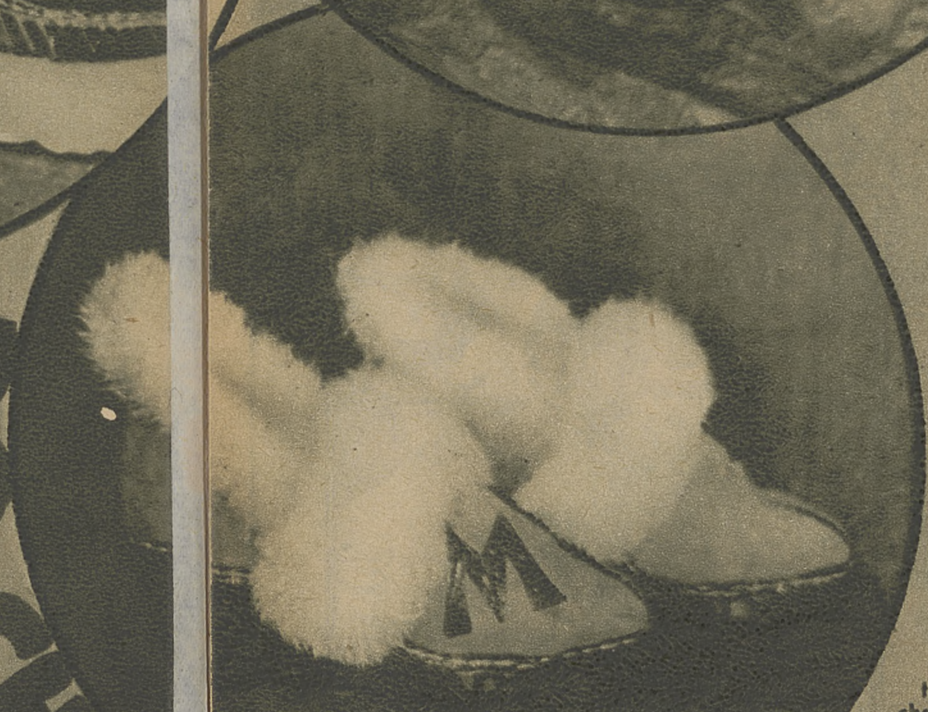


Na prawo:
Japonia spośród cywilizowanych narodów jest jedynym krajem, w którym moda kobieca nie uległa zmianie od 2500 lat. Na zdjęciu widzimy sandałki słomiane na pogodę i obuwie na wysokich podeszwach na deszcz. Czyżby obecna moda drewniaków wzięła swój początek ze wzorów japońskich?









Poniżej widzimy trzy rodzaje dzisiejszych pantofelków: piękne drewniaczki, szykowne korkowce i jeszcze bardziej oryginalne „drewno - korkowce". Obecnie szewc musi mieć coś z artysty.

Fot: Błeha 12
Borek 4



Na lewo:
Męczenniczki mody w południowych Chinach musiały dostosować nogę do buta, a nie odwrotnie. Na zdjęciu odlew z gipsu zniekształconej nogi kobiecej, poniżej buciczek nadający się do tej nóżki-kopytka, pięknie haftowany jedwabiem. Przeciwstawieniem jego jest pantofelek „sąsiadki zza ściany", mieszkanki Mandżurii.



Powyżej:
Już w średniowieczu kobieta ko bietę pragnęła przewyższy Świadczy o tym bucik szczudełko elegantk arabskiej inkrustowan bogato perłową masą

Słowem możliwości w tej dziedzinie są tak nieograniczone, że nic dziwnego, iż powstało specjalne muzeum gromadzące obuwie z różnych epok i krajów. Podajemy na zdjęciach obok zamieszczonych kilka wzorów obuwia dawniejszego aż do ostatnich modeli drewniaków i sznuraków, produktu ostatniej wojny. Nie uwzględniliśmy jeszcze materiałów zastępczych, które imitują skórę lub płótno, wszelkiego rodzaju obuwia gumowego lub u naszych rycerskich przodków żelaznego, a u pańszczyźnianych „łapci" z łyka lipowego. Nie będziemy się bowiem zagłębiać daleko w historię, bo zagubilibyśmy się w tej obfitości kształtów, tworzyw, odmian. Tych kilka zdań i kilka zdjęć da nam poznać jaką rolę w historii odgrywało obuwie, poznamy też z kształtów obuwia „styl" epoki do jakiej należą. Nie dalecy od prawdy, jeśli stwierdzimy, że historia obuwia, to historia kultury, a zabytki sztuki obuwniczej nie są gorsze od zabytków sztuki malarskiej, rzeźbiarskiej czy piśmienniczej. Wszystkie one pokazują nam przeszłość kultury narodu, wszystkie przyczyniają się do poznania całokształtu życia naszych przodków. „Poznać pana po obuwiu". Racja. W przenośni i dosłownie.



Na lewo:
Czym zakasuję moją rywalkę? Kupię sobie drewniaczki z jeszcze oryginalniejszym upięciem! Może ten model . . . ?



Powyżej:
Nie dałoby się jeszcze troszkę wyżej? Łatwiej chodzić na szczudłach, aniżeli na tych półmetrowej wysokości obcasach; a w dodatku za te tak kunsztownie wykonane buciki płaciło się przed wojną światową 300 koron.

Na prawo:
But kuriera francuskiego około 1750 r. Siedem kilogramów dźwigał posłaniec z czasów ministra Turgota na swoich nogach. Nie był to jednak wybryk mody, lecz pewnego rodzaju ochrona przed bandytami, napadającymi często na „pocztę".



Poniżej:
Piękne buty bojarów rosyjskich, mozaika w skórze, bogactwo kolorów, malownicze uzupełnienie stroju narodowego.

Na prawo:
W takich pantofelkach chadzał „Fircyk" Zabłockiego i jemu współczesne fircyki. Z wiedeńska zwano je „Gigerl", bo tam ukazały się po raz pierwszy.

Jakże odmiennie wyglądają wygodne, małopokaźne, z matowej skóry wykonane pantofle żołdaków z pierwszej połowy XVI w. Przypominają kształtem swym nasze pantofle gimnastyczne.



Powyżej:
„Cóż, kiedy dama ma nóżki jak sarenka ma"... no i pantofelki też cacane. Co wart obraz bez ram i odwrotnie: garnek bez strawy?

Powyżej:
„Dla pani wszystko!" — powiedział zając i ofiarował jej swoje puszyste futerko na pantofelki domowe. Teraz bestia ma przyjemność stale leżeć u jej stóp.



„Souliers à la Poulaine". Za czasów Karola IV. we Francji żyli ludzie na „dużej stopie". Co prawda stopa sama nie różniła się od stóp dzisiejszych śmiertelników, za to nosy przy butach: im dostojniejsza osoba tym . . . „żyła na większej stopnie".

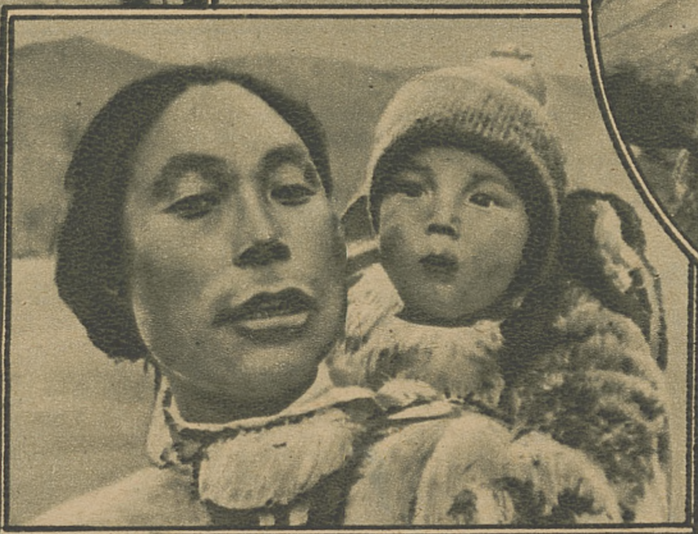
NA KRAŃCACH ŚWIATA



Na najdalej na północ wysuniętych krańcach ziemi, wśród wiecznych lodów i długich nocy arktycznych, opromienionych jedynie tajemniczym blaskiem zorzy polarnej — żyją Eskimosi. Zamieszkały przez to plemię obszar ciągnie się od zachodniego wybrzeża zatoki Beringa poprzez Alaskę, krańce Ameryki Północnej, aż po zachodnią Grenlandię. Biedny to kraj, nie ma w nim złota, ni zielonych lasów, odległy od świata, a jednak w nędzy swej piękny. Śnieżne nieprzejrzane pola snują się tam od morza do morza. Wszystko jest proste, olbrzymie i wspaniałe. Biały jest śnieg, błękitne niebo, ciemne i nagie góry sterczą ku niebu, a morze wzburzone wyje i ryczy. Dziwny, niepojęty urok na dusze ludzkie wywiera przyroda tego kraju. Niemniej godni uwagi są jego mieszkańcy — Eskimosi. Choć należą oni do rasy mongolskiej, różnią się wyglądem i całym trybem życia od wszystkich plemion i narodów ziemi, ale pomiędzy sobą są uderzająco podobni. Podobieństwo mowy, zwyczajów, obyczajów, a nawet baśni świadczy, że 40 000 ludzi liczące plemię Eskimosów rozrzucone po olbrzymich przestrzeniach stosunkowo niedawno musiało opuścić swą praojczyznę — być może była nią Ameryka Północna, być może wnętrze Alaski — i około roku 1000 wywędrowało do swych obecnych siedzib. Z początkiem XV wieku, dotarli Eskimosi do zachodnich wybrzeży Grenlandii, gdzie po raz pierwszy zetknęli się z kulturą europejską w osobach kolonistów z Islandii. Wpływ ten jednak zatarł się szybko, gdyż koloniści nie utrzymywali zupełnie kontaktu z ojczyzną. Dopiero z początkiem XVIII stulecia misjonarze duńscy zaszczepili częściowo wśród Eskimosów europejską cywilizację.

Eskimosi bardziej niż którekolwiek inne plemię ludzkie złączeni są z morzem. Morze daje im żywność i byt; po nim wędrują oni ustawicznie — zimą z zaprzężonych psami saniach, latem na swych skórą obciągniętych długich łodziach. Wiosłują w nich kobiety, a steruje mężczyzna, głowa rodziny, podczas gdy inni mężczyźni płyną za łodziami w wych kajakach. Na taką łódź ładują Eskimosi cały swój majątek, wszystko co posiadają: namiot, sprzęty domowe, narzędzia, kobiety, dzieci, psy i puszczają się na wyprawę trwającą całe lato. Wędrują w niej z jednego miejsca połowu na drugie, zatrzymując się dłużej w zatokach, gdzie zbiera się dużo fok lub na miejscach kędy się reny zbierają. Gdy ich zima zaskoczy podczas wyprawy, zatrzymują się na wybrzeżu, obierają najstosowniejsze miejsce i budują na nim chatę zimową, w której wyczekują następnego lata, aby znów puścić się dalej wzdłuż wybrzeża, bo taka częsta zmiana miejsca pobytu daje obfitszą zdobycz łowiecką. Wszystkie myśli, działania, uczucia Eskimosów złączone są z morzem. Pełne niebezpieczeństw i trudu wyprawy stanowią treść ich istnienia. Eskimos wie, że złowrogie fale pozbawiły życia jego ojca, brata i przyjaciela a mimo to dzień w dzień w burzę i pogodę puszcza się na morze w taneczne zawody ze śmiercią. Eskimosi kochają swą ojczyznę gorąco, ona w ich pojęciu jest całym światem. Toteż siebie tylko nazywają ludźmi (Innuit) uważając inne plemiona tylko za zwierzęta wyższego gatunku. Mimo przyjęcia chrześcijaństwa nie znikły jednak z duszy Eskimosa ślady dawnych wierzeń. Dziś jeszcze wierzy Eskimos jak i jego pogańscy przodkowie, że w każdej cząstce przyrody, górze, drzewie, zwierzęciu mieszka istota nadprzyrodzona, będąca panem-właścicielem tej góry, czy tego drzewa, lodowca,

Dalszy ciąg na str. 8





BUDOWA SAŃ
Przy pomocy prymitywnego narzędzia wierci Eskimos dziurę w prętach przeznaczonych na budowę sań.

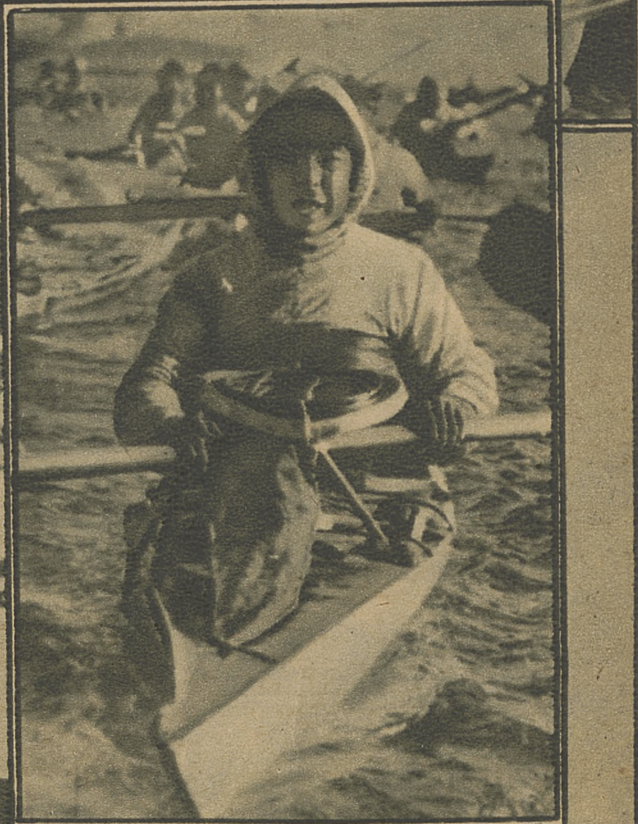
Powyżej na lewo:
WYPRAWIANIE SKÓR
Eskimoski same sporządzają obuwie. Zmiękczanie skór odbywa się przez żucie zębami, nie tyle może z potrzeby ile dla przyjemności; ponieważ wysysanie skóry i odgryzanie tłuszczu znajdującego się na niej, sprawia wielką rozkosz podniebieniu i równocześnie zaspakaja głód. Nic dziwnego więc, że stare Eskimoski mają zęby starte aż do dziąseł.

Powyżej:
WYGODNA KOŁYSKA
Eskimoski — jak u wielu ludów pierwotnych, u których kobieta musi pracować — noszą swe dzieci w worku futrzanym na plecach.

Poniżej:
ZIMOWE CHATY
W zimie Eskimosi mieszkają w chatach zbudowanych ze śniegu. Lampy napełnione tłuszczem foczym i ciepło parujące z ciał licznych mieszkańców chaty wytwarza wewnątrz tak wysoką temperaturę, że Eskimos rozbiera się niemal do naga.



Fot. Seiler





U góry: **GRA W SZACHY**
Pod wpływem kultury europejskiej przyjmują Eskimosi ubiór i zwyczaje europejskie, a nawet sposób uczesania. Łatwo pojęli oni zasady gry w domino, warcaby, a nawet w szachy, i w wolnych chwilach uprawiają z zamiłowaniem te gry.

NA DALEKĄ WYPRAWĘ
Szybko jak strzała posuwa się w swym kajaku Eskimos po falach morskich.

Ach ta ciocia!



HUMORESKA – NAPISAŁ: ANDER

Dokończenie

Teraz potrzebne było panu redaktorowi coś o górach. Jednak, wśród kilku przejrzanych rękopisów, nie znalazł nic, co odpowiadałoby jego wymaganiom. Odsunął rękopisy na bok i zabrał się do przeglądania nadesłanej poczty. Pierwsza koperta, która wpadła mu w ręce, zawierała nowelę, napisaną drobnym, nerwowym pismem, na luźnych kartkach papieru.

Tytuł: „Bez celu": Autor: W. Strzycki.

Redaktor przeczytał kilka wierszy. Styl jak zwykle świetny — pomyślał. — No i zdaje się nareszcie mam to, czego szukałem — są góry. — Poprawił się w fotelu i pogrążył w lekturze. Nowela podobała mu się. — Pójdzie— zadecydował od razu.

Przerwano mu czytanie, kiedy był już blisko końca. Musiał załatwić kilka ważnych spraw. — Trzeba to będzie przepisać na maszynie — pomyślał odkładając rękopis. — Talent to ten pan Strzycki ma, ale powinien mieć też i sekretarza. Właściwie szkoda czasu — pomyślał — materiał do numeru musi wnet być gotowy. Dam to zaraz do przepisania. Czytać skończę potem.

•

Ewa w ciemnym, biurowym fartuchu wyglądała jak pensjonarka. Spoglądając co chwila niecierpliwie na leżące przed nią pismo, wystukiwała pospiesznie litery. Pracowała.

Po wydaleniu się z domu, zacięta w swoim postanowieniu, zamieszkała w skromnym pokoiku, po przeciwległej stronie miasta. Wkrótce udało jej się dostać posadę w redakcji. Kończyła właśnie pisać. Z prawdziwą satysfakcją postawiła kropkę, zdjęła papier z maszyny i rozprostowując z ulgą zesztywniałe plecy, przeglądała zapisany arkusz.

— Proszę to przepisać — polecił szef, kładąc przed nią na stoliku kilkanaście złożonych kartek. — Jednostronnie, do druku. Tylko możliwie szybko.

— Znowu trzeba pisać — pomyślała Ewa z rozpaczą, wzdychając cicho i wznosząc oczy ku sufitowi — i to w dodatku szybko! Wszystko musi być szybko, wszystko zaraz potrzebne! Och, to tempo pracy!

Nie mogła się do niego przyzwyczaić. Może dałaby już była za wygraną i wróciła do domu ale — dzwoniła kilka razy do Witolda — nigdy żadnej odpowiedzi.

— Co się z nim stało? Co on zrobił? — Męczyły ją stale te myśli. Praca, wymagająca ciągłej uwagi, darzyła ją przynajmniej chwilowym zapomnieniem. Więc pracowała. Odłożyła sprawdzony arkusz i nałożywszy na maszynę papier, rozwinęła leżący rękopis.

— Co? Pismo Witolda? Czy mnie oczy mylą? — Była niezmiernie zaskoczona. Zapomniała o poleconym pośpiechu i pogrążyła się w czytaniu.

Jeśli nawet miała pewne wątpliwości co do osoby autora, to rozwiały się one do reszty, po przeczytaniu kilkunastu wierszy.

— Ależ tak! To Witold pisze! Przecież to ich historia! Poznanie w górach... Tyle razy dziwili się, że mieszkając w jednej dzielnicy miasta, musieli dopiero wyjechać w góry, by się odnaleźć. Wróciły do niej cudne, słoneczne dni. Ich poznanie — Historia pierwszego pocałunku. Zaręczyny. Zerwanie...

— Co?! Ciocia? — O Boże! — jakaż ja głupia! — wykrzyknęła.

Pan redaktor już od kilku sekund, stał w drzwiach i z uśmiechem przypatrywał się pogrążonej w lekturze Ewie. Nigdy jeszcze nie widział, by ktoś tak zapamiętał się w czytaniu. Na jej wykrzyknik, roześmiał się głośno i podszedł do stolika.

— Wiedziałem, że nowela jest dobra, ale że wzbudzi w pani podobne refleksje, tego nie przypuszczałem.

Ewa zarumieniła się mocno.

— Ach nie, panie redaktorze... ja tylko...

— No dobrze, dobrze... ale co ja widzę, pani nie zaczęła jeszcze przepisywać?

— Już — w tej chwili!

Zaczęła szybko stukać w klawisze maszyny.

— Jakaż ja głupia — ciągnęła dalej swoją myśl — że też nie przypuściłam nawet, że ta dama w niebieskiej toalecie, to może być po prostu jego ciocia. No, ale tak długo czekałam wtedy przed hotelem, nie wychodził. Ech! — przecież mogłam się od razu zorientować, że Witold nie byłby zdolny zdradzić mnie z podobnym... czupiradłem.

— Co też się teraz z nim dzieje? Może nowela powie.

Poczęła zerkać ukradkiem na koniec.

Był śliczny i bardzo smutny. Bohater noweli porzucony przez bohaterkę, stacza się w przepaść smutku i melancholii. Udrapowany w Weltschmerz, jak w twarzową pelerynę z czarnego aksamitu, siedzi długo na progu szałasu i przy akompaniamencie pobekiwań baranów rozmawia z własną duszą. Potem błądzi po zboczach. Wokół niego zimne i złe przepaście i pustka życia. Nie jest pewne czy skoczył w końcu w czarną rozpadlinę przepaści, która u nóg mu ziała obietnicą ukojnej ciszy — czy też wrócił po prostu do schroniska na chleb z serem i szklankę herbaty. Ale to nie jest ważne, gdy czytelnik ma już łzy w oczach, a na sercu posmak wzniosłości.

Ewa otarła ukradkiem łzy, które napłynęły jej do oczu. Wzruszona wymowną miłością narzeczonego, przebaczyła mu wszystko. Właściwie, cóż tu było do przebaczenia? Jedynie chyba to, że niepotrzebnie martwiła się przez tyle długich dni. Nie gniewa się już na niego, ani trochę. Lecz jakże mu to powiedzieć? Gdzie go szukać?

Nie dawała jej spokoju myśl co się z nim dzieje. Jeszcze wczoraj dzwoniła do niego. Nikt nie odpowiedział. Nie mogąc zmienić rzeczywistości — pod wpływem nagłego impulsu, postanowiła zmienić bodaj zakończenie noweli. I zmieniła:

...Usłyszał za sobą czyjeś kroki. Nie obejrzał się. Co go obchodzi ktoś, kto idzie za nim? Wytknął sobie jakiś cel i podąża ku niemu. Czy to ciekawe kto idzie i dokąd. — On sam, nigdzie przed sobą nie widzi celu. Ot — wlecze się — krok za krokiem.

Nagle drgnął. Ten ktoś, idący za nim, wołał go po imieniu. Zdziwienie sparaliżowało na moment jego kroki. Nim zdążył się odwrócić, otoczyły go pieszczotliwie czyjeś silne, ciepłe ramiona.

— Marta! — wykrzyknął. Ty tutaj?

Dyszała mu na piersiach jak po długim śmiertelnym biegu.

— Szukałam cię tak długo — szeptała wśród łez i uśmiechów. — Pasterze wskazali mi drogę. Och! Jurku! Byłam niemądra. Bez powodu zniszczyłam nasze szczęście! Czy zdołasz mi przebaczyć? Czy... zamknął jej usta długim, gorącym pocałunkiem.

— Już nic nie mów! Już nic nie tłumacz. Wszystko dobrze gdy jesteś przy mnie! — I wszystko skończyło się szczęśliwie, bowiem nie ma historii tak ponurej, która by przy odrobinie dobrej woli autora, nie mogła zakończyć się happy endem.

Po dwu tygodniach powracał Strzycki do domu. Zaledwie wysiadł z pociągu, wpadł mu w ręce świeżo wydany numer tygodnika.

— Ciekaw jestem czy poszło? — myślał przerzucając pospiesznie kartki...

— Jest!

Każdemu autorowi sprawia to satysfakcję, gdy ogląda swój utwór oddany drukiem.

Witold przystanął na uboczu i począł czytać. Znane zdania pachniały farbą drukarską. Aż nagle... nieoczekiwane zakończenie! Wpadł we wściekłość! Odczuł to, jako naigrawanie się z niego. — Kto śmiał zmienić treść bez mojej zgody — kotłowało w nim.

Pisząc miał nadzieję, że gdzieś tam, wpadnie może tygodnik z jego nowelą w ręce Ewy. Przeczyta, wzruszy się — wróci. Ale tak — wobec takiego zakończenia, uzna go za zarozumialca i jeszcze bardziej zatnie się w swym postanowieniu.

Wściekły pognał do redakcji.

— Pan w jakiej sprawie? — zapytał uprzejmie redaktor młodego człowieka, wpadającego do gabinetu z rozwianym włosem.

Pewno jakiś poeta, opętany przez natchnienie lub wierzycieli — pomyślał — który musi, natychmiast musi wydrukować swój wspaniały utwór!

— Jestem Strzycki, autor noweli drukowanej w ostatnim numerze.

— A! Bardzo mi przyjemnie. Dawno już chciałem poznać osobiście autora tak udatnych nowel, jednak pan nigdy nie chciał pofatygować się do nas osobiście. Proszę, pan raczy spocząć — uprzejmie zapraszał redaktor. — Doprawdy udała się panu ta drobnostka! Szczególnie to zakończenie, tak pozornie nie harmonizujące z nastrojem całości, jest świetnym trickiem psychologicznym! Tutaj niby beznadziejność, smutek, melancholia, a w rzeczywistości kończy się wszystko jak najlepiej — ciągnął redaktor podsuwając Witoldowi papierośnicę.

— Właśnie to zakończenie, panie redaktorze. O to zakończenie chodzi mi najwięcej — irytował się Witold. — Uważam, że tak gruntownej zmiany nie należało przeprowadzać bez porozumienia się z autorem.

Redaktor zaskoczony, wstrzymał w pół drogi rękę, niosącą ku ustom papierosa.

— Zmiany? Jakiej zmiany? Ależ nie czyniłem najmniejszych zmian w pańskiej noweli. Uznałem ją z miejsca za świetną — poszła do druku, bez jakichkolwiek zmian!

— Przecież w mojej noweli zakończenie było zupełnie inne.

— Bardzo mi przykro. Czy pan się jednak nie myli? Tam musiało być tak, jak jest wydrukowane.

Witold stracił już panowanie nad sobą.

— Ależ panie redaktorze! — wykrzyknął prawie — czy pan mnie posądza o amnezję? Zapewniam pana, że tak nie było! na pewno nie było! W najbliższym numerze musi znaleźć się sprostowanie całej historii.

Redaktor nie wiedział co o tym wszystkim sądzić. Ocierał chusteczką spocone czoło.

— Doprawdy, nie rozumiem tego. Nie czyniłem żadnych zmian.

— A jednak zmiana jest. Zakończenie jest przecież zupełnie inne!

— Zakończenie inne? Absolutnie nie widzę tego. Przypominam sobie dokładnie, tuż przed odesłaniem do druku, czytałem pańską nowelę po raz drugi, wtedy właśnie nasunęły mi się te refleksje co do zakończenia. Pańskiej noweli absolutnie nikt... Ach zaraz! — przypomniał sobie nagle. — Jedną małą chwileczkę. Może nasza sekretarka będzie mogła coś nam wyjaśnić. Ona przygotowywała nowelę do druku. Przypominam sobie, była nią przejęta do głębi.

Zadzwonił.

Weszła Ewa.

Gdyby Witold usłyszał nagle nad uchem dźwięk trąby archanielskiej, wzywającej na sąd, nie zaskoczyłoby go to bardziej niż to nieoczekiwane spotkanie.

Wrażenie odebrało mu mowę.

— Proszę pani — zaczął redaktor.

— Wiem o co chodzi — przerwała mu. — Panowie tak głośno mówili.

— Czy doprawdy nie odpowiada panu zakończenie z happy endem? — zwróciła się do Witolda zamienionego w posąg. — Czy nadal upiera się pan przy poprzedniej wersji?

Rozjaśniony, jak słońce, rzucił się do jej rąk.

— Ależ nigdy w życiu! Zakończenie jest cudowne! Jestem oczarowany! O takim właśnie zakończeniu marzyłem!

Redaktor stał jak na tureckim kazaniu.

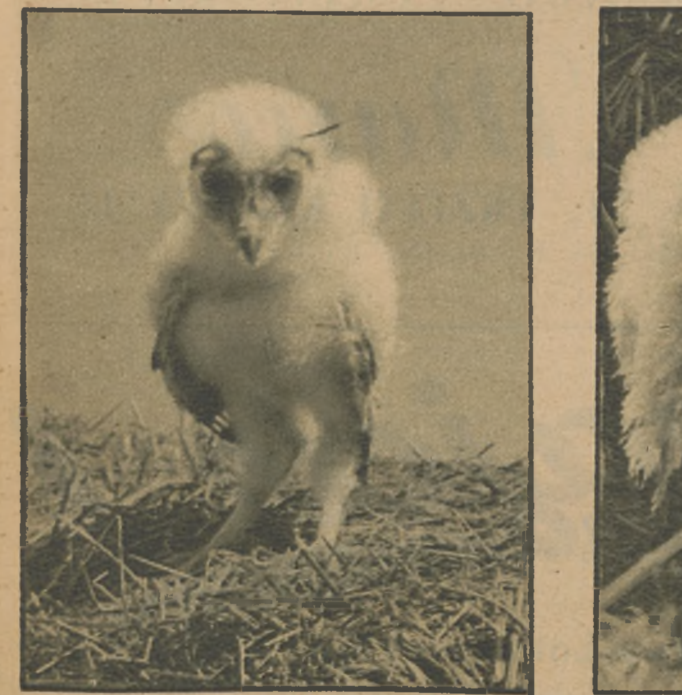
— Niech mnie piorun strzeli, jeśli coś rozumiem — mruczał.

— Panie! — zwrócił się do Witolda — może mi pan łaskawie wytłumaczy, jak to jest z tym zakończeniem!

— O, to nie jest już ważne, panie redaktorze. Sądzę, że pozostaniemy jednak przy happy endzie!

PUCH – I MĄDROŚĆ...

Fot: Witzleben Tekst: M. A. Hessel







W rodzinnym gnieździe, z wysokości
mały filozof — pisklę sowy —
(sowa, to symbol jest mądrości)
spogląda w świat wielki i nowy...
W oczach ogromnych jak talary
ciekawość lśni otchłannym błyskiem,
bo roztoczyły swoje czary
kształty i barwy świata wszystkie.
Pod dzióbkiem jeszcze świeci mleko...
i drżą na puszku łupki z jajka...
— ale już myśli są daleko!!
Gdy umiesz patrzyć — świat to bajka!

...miał też ambicje ikarowe
nieuskrzydlony puch myślący...
Skończyło się — że spadł na głowę
(choć lecieć chciał w promienne słońce)
i dzióbkiem zarył w dół okropnie...
Łebek na pierś mu hańba spuszcza.
A wszyscy widzą tę sromotę:
rodzeństwo i rodzinna puszcza!
Sowiątku oto wstyd i klęska...
Lecz z puchem, bez piór, — po cóż latać?
Nim się dorośnie do zwycięstwa
nie trzeba sobą bawić świata!!

Jedwabopuche sowy pisklę
rycerski zapęd w sobie czuje,
a więc z wojennym groźnym piskiem
bratni kłębuszek atakuje...
Rozwarte skrzydła — gniewna mina — —
z talarów oczu gniew się szczerzy — — —
Potworka-dziwo przypomina
to dziecko sów, nocnych rycerzy.
Wre straszna burza... — „w szklance wody"
(jedwabny puch umie się złościć).
Takie „dziecięce" są przygody
sowy, co ptakiem jest mądrości.

ROZMAITOŚCI

WIERNOŚĆ CZY PRZYZWYCZAJENIE?

Kupiec sprzedający rowery w Lönstrup (Dania) podarował niedawno swego kota angorę przyjacielowi mieszkającemu w mieście Vran odległym o 20 km. Kota włożono do koszyka, a koszyk owinięto kocami dość szczelnie, by ochronić zwierzę przed zimnem. W trzy dni później wychodził ów kupiec ze swego domu i jakież było jego zdumienie, gdy na progu zobaczył kota, który ujrzawszy swego pana wskoczył mu na ramię i zaczął się łasić. Choć zwierzę podczas transportu znajdowało się w koszu szczelnie przykrytym, trafiło jednak do swego dawnego domu i właściciela mimo odległości 20 km.

POMYSŁOWOŚĆ PSZCZELARZA

Pewien farmer posiadał 11½ miliona pszczół. Ponieważ w tym roku dużo drzew wymarzło i zbyt mało było kwiatów obawiał się farmer, że zabraknie pszczołom pożywienia i zdecydował się przewieźć je w inne okolice odległe o 700 km, na lepsze „pastwiska". Podróż jednak koleją tylu pszczół była rzeczą bardzo ciężką i ryzykowną, gdyż w czasie długiej jazdy pszczoły nie mogły otrzymać żadnego pożywienia. Pomysłowy farmer wsadził pszczoły do puszek wypełnionych częściowo trocinami, puszki te następnie włożył do koszy, a kosze otoczył lodem. Pszczoły na skutek znacznego obniżenia się temperatury zapadły w sen i przebyły całą drogę szczęśliwie. Farmer nie poniósł najmniejszej szkody.

WYSPA DALTONISTÓW

Na północy Islandii znajduje się mała wysepka Limfjordö, której mieszkańcy w liczbie 200 cierpią na zupełną ślepotę barw i to już od całego szeregu pokoleń. Fakt ten wycisnął swe piętno na kolorycie wyspy. Zarówno w ubiorach jak również i w urządzeniu wnętrza domów tych ludzi zwraca uwagę brak jakichkolwiek barw. Ponieważ ludzie ci widzą świat tylko w kolorze czarnym, białym i szarym, nie noszą jak inni rybacy czerwonych chust na głowie, niebieskich fartuchów, barwnych krawatów, nie mają żółtych firanek, ani barwnie pomalowanych sprzętów domowych. Ponieważ również i świat roślinny na tej wulkanicznej wysepce jest prawie bezbarwny wyspa ta wydaje się nam światem bez barw. Uczeni i lekarze zainteresowali się tym niezwykłym objawem masowej ślepoty na barwy i doszli do wniosku, że powodem jej jest choroba dziedziczna powstała przez związki małżeńskie w rodzinie. Na wyspie tej osiedla się bowiem mało przybyszów.

LEKARSTWO NA NERWY

Ludziom nerwowym, ciężko pracującym, czy też mającym wiele trosk i zmartwień zaleca się sprawienie sobie akwarium ze złotymi rybkami. Chcąc wypocząć nerwowo, wystarczy posiedzieć co dzień przez kilka minut zaledwie, przed wanienką szklaną z rybkami i obserwować jak igrają w wodzie. Dlatego to w poczekalniach lekarzy akwaria nie należą do rzadkości.

PRZYTOMNOŚĆ UMYSŁU...

nieraz już uratowała ludziom życie. W Mersaville, w Stanach Zjednoczonych, zdarzył się niedawno wypadek, który mógł się zakończyć tragicznie dla wielu ludzi, gdyby nie przytomność księdza odprawiającego nabożeństwo. Pewnej niedzieli stał proboszcz tej parafii przy ołtarzu i mówił kazanie. W pewnej chwili zauważył on, że dokoła świecznika na ołtarzu okręcony jest grzechotnik. Duchowny nie okazał żadnym gestem przerażenia, jakie go zdjęło, lecz dalej spokojnie mówił kazanie podczas gdy mózg jego pracował nad tym, co zrobić. Gdyby swoich wiernych ostrzegł, powstałaby w kościele panika, w czasie której mogło być wiele osób narażonych na utratę życia lub kalectwo. Skrócił więc znacznie nabożeństwo, i dopiero gdy kościół już opustoszał, zawołał kilku mężczyzn i pokazał im węża. Chłopi ochłonąwszy z przerażenia, zdjęli węża drągami ze świecznika i zabili go.

COŚ O JASZCZURKACH

Na pustyni libijskiej i egipskiej istnieje dużo jaszczurek długich na 30 cm i podobnych do krokodyla. Nie piją one nigdy wody, za to ich skóra ma własność chłonięcia niezbędnej do życia wody w postaci rosy obficie podczas nocy padającej i przypominającej mały deszcz.

NA KRAŃCACH SWIATA Dokończenie ze str. 6

kajaku. Również niektóre pogańskie zwyczaje Eskimosów przetrwały po dziś dzień mimo wpływu misjonarzy.

Rozpowszechniony wśród Eskimosów zwyczaj zamiany na jakiś czas żon między sobą, mimo istniejącego zwyczaju małżeństw monogamicznych, jest uważany za niewinną zabawę miłosną. Nasze pojęcie moralności jest tak dalece obce i niezrozumiałe dla Eskimosa, że kobieta, która by się buntowała przeciw temu zwyczajowi, byłaby posądzona o brak miłości do męża. Kobiety u Eskimosów nie są jednak wcale uciemiężane i wyzyskiwane.

Małżeństwo posiada wśród Eskimosów o wiele głębsze znaczenie społeczne niż np. u nas, gdyż twarda bezlitosna przyroda wyklucza niemal możliwość egzystencji pojedynczego człowieka. Walka o utrzymanie życia w tych okolicach jest możliwą jedynie dzięki współpracy kobiety z mężczyzną. Mężczyzna pracuje ciężko na morzu i łowach. Kobiety gotują pożywienie, wyprawiają skóry, szyją suknie. One to budują chaty i rozbijają na lato namioty.

Spośród wszystkich ludów kuli ziemskiej Eskimosi są najbardziej pokojowo usposobionym, najdobroduszniejszym i najzgodniejszym narodem. Bójki nie zdarzają się wśród Eskimosów nigdy. Morderstwa należą do fenomenalnych rzadkości. Eskimosi są bardzo uczciwi i rzetelni. Źródłem tej uczciwości jest konieczność wzajemnego zaufania do siebie ludzi związanych nieustanną potrzebą wzajemnego poparcia i wzajemnej pomocy. Eskimosi nie są kłamliwi i obłudni, a długi swe płacą rzetelnie. Mimo ciężkiej walki z przyrodą i trudnych warunków życia Eskimos nie jest smutny ani ponury, ma raczej pogodne, beztroskie usposobienie dziecka. Ból i cierpienie odczuwa w pierwszej chwili bardzo silnie, ale zapomina o nim szybko i znów jest wesoły, szczęśliwy i zadowolony z istnienia i z siebie. Gdy ma co jeść cieszy się tym i zjada wszystko masami, choćby na jutro nic nie zostało i choćby przyszło głód cierpieć. Ta lekkomyślność daje mu biedę i niedostatek, ale daje mu i siłę wytrwania, niedopuszczając w duszę zmartwień i troski, tej troski, która cywilizowanego Europejczyka prześladuje nieraz na każdym kroku odbierając mu energię życiową, siły moralne i fizyczne. Eskimos — to dziecię morza — nic więc dziwnego, że dusza jego to odbicie morza. Dusza ta zmienna jest w nastrojach jak morze. Poważna w burzy, a bez miary wesoła w pogodę i w blaskach słońca.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau. Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



Nie poznałem swego przyjaciela. Kiedy Andrzej usiadł, pochyliwszy nisko głowę, ze zdziwieniem zauważyłem, że włosy jego przyprószone były siwizną. Nie mogłem oderwać od niego wzroku. Czyż to możliwe — myślałem — żeby człowiek tak strasznie mógł się zmienić? Przecież kiedy ostatnio widzieliśmy się z sobą, Andrzej był taki szczęśliwy. Miał młodą, uroczą żonę, dziecko, majątek ... A dziś? — złamany, zgorzkniały starzec. Co mu się stało? — zastanawiałem się, nie mając jakoś odwagi wszcząć z nim rozmowy. Czyżby spotkało go jakieś nieszczęście? A może ...

Andrzej milczał długo, wreszcie, jakby się zbudził z głębokiego snu ... Przetarł ręką czoło, westchnął, po czym, utkwiwszy we mnie gorączkowo błyszczące oczy, zadał mi pytanie, którego najmniej się spodziewałem:

— Czy ludzie umierają? ...

Spojrzałem zdziwiony na przyjaciela. Czyżby zwariował? — pomyślałem. — Andrzej jakby czytał w moich myślach, bo uśmiechnął się smutno, mówiąc:

— Nie, jeszcze nie zwariowałem, Ryszardzie, choć kto wie, kto wie ... Ale powiedz mi, powiedz, czy ty wierzysz w życie pozagrobowe?

— Czy wierzę? Każdy z nas musi w coś wierzyć. Być może, że istnieje ...

— A czym jest, według ciebie, śmierć? ...

— Śmierć? ... Ale dlaczego mnie o to pytasz? — zaniepokoiłem się nagle, nie wiedząc jeszcze do czego Andrzej zmierza.

— Tak, śmierć! Widzę jednakże, że zaskoczyło cię to pytanie ,powiem ci więc. Śmierć jest ... przedłużeniem życia ...

— Trafnie to określiłeś, nie rozumiem jednakże do czego zmierzasz ... Czyżby? ...

— Przed miesiącem umarła mi żona i ...

— To straszny cios dla ciebie — przerwałem mu. Tak ją przecież kochałeś ...

Jakby nie słysząc tego, co powiedziałem, Andrzej snuł dalej swą myśl ...

— Jeśli więc śmierć — mówił — jest przedłużeniem życia, to — powiedz mi — czy człowiek może umrzeć, porzucić swych najbliższych i rozwiać się — tak — rozwiać, jak dym w wszechświecie, nie pozostawiając po sobie nic, żadnego śladu? ...

— No, nie ... Jest przecież dusza ...

— A ciało? Co się dzieje z ciałem?

— Ginie, rozsypuje się w proch.

— Tak mówisz? A gdybym ci tak powiedział, że żona moja ... żyje, choć już od miesięcy leży w grobie? ...

— Mówisz mi takie dziwne rzeczy, Andrzeju, że doprawdy nie wiem, co mam o tym sądzić — powiedziałem ostrożnie.

— A ja ci mówię, że choć Marychna umarła, widuję się z nią, rozmawiam ... Nie dalej, jak wczoraj słyszałem jej głos ...

— Ależ, ty jesteś chory — zatroszczyłem się nagle o przyjaciela. Może cierpisz na rozstrój nerwowy? Radziłbym ci więc, abyś udał się do lekarza ...

— Ja ... chory? ... Nie, ale słuchaj, a może uwierzysz ... Wiesz, jak straszną, obłąkańczą wprost miłością kochałem swą żonę. Byliśmy z sobą tak szczęśliwi ... Aż nagle zachorowała. Co jej było nie wiem, nie wiedzieli również tego lekarze, których wezwałem do łoża chorej. Gorączka zżerała ją, tylko te jej oczy, oczy cudowne, żyły w niej, paląc się jakimś nienaturalnym blaskiem ... Marychna umierała — wiedziała o tym — i nic, biedny, nie mogłem na to poradzić, nic pomóc ... Myślałem wtedy, że oszaleję z rozpaczy i, kto wie, czyby do tego nie doszło, gdyby chora nie wezwała mnie nagle do siebie. Kiedy stanąłem przed nią, lekko wzięła mnie za rękę, po czym uśmiechając się promiennie, zapytała:

— Czy kochasz mnie, Andrzeju? — Było to tak wzruszające, że nie mogłem wymówić słowa, tylko łzy, ciężkie, jak moja boleść, powoli zaczęły spływać mi po twarzy. A ona mówiła ... — Nie płacz, ukochany, nie płacz ... Ja wrócę do ciebie, przysięgam ci, że wrócę ... Czekaj więc na mnie, czekaj ... A teraz, teraz ... zagraj mi moją ulubioną sonatę. Ostatni raz chcę ją usłyszec ..." — Drżącą ze wzruszenia ręką założyłem płytę, a w chwilę potem popłynęła cicha, słodka melodia ... Kiedy wreszcie przebrzmiały ostatnie jej echa, Marychna szepnęła:

„— Odchodzę, Andrzeju, odchodzę, lecz wierz mi, że przyjdę do ciebie, przyjdę każdej nocy ... Czekaj więc na mnie, czekaj ..."

— I co się dalej stało? — zapytałem, dziwnie wstrząśnięty tą dziwną, nieprawdopodobną historią.

— W godzinę potem umarła. Dlaczego nie popełniłem wtedy samobójstwa — nie wiem. Przy życiu trzymała mnie jednak ta szalona, obłąkańcza myśl, że przecież zobaczę się z Marychną, że usłyszę jej kochany głos ... Po śmierci żony zerwałem ze światem, z przyjaciółmi. Całymi dniami nie wychodziłem z mieszkania, zastanawiając się nad tym, co mi przed śmiercią powiedziała Marychna. Płynęły dni, tygodnie, a ja, ja — przyznam ci się, Ryszardzie, nie śmiałem, nie miałem odwagi zagrać jej ulubionej sonaty, choć chciałem, choć pragnąłem tego gorąco ... Ja, człowiek, nie wierzyłem, nie mogłem w to uwierzyć, żeby Marychna mogła przyjść do mnie po śmierci, zza grobu ...

— Pewnego dnia wszedłem do jej pokoju. Wszystko tu pozostało tak, jak dawniej, jak za życia żony. Na fotelu leżał niedbale rzucony jej szal, na toalecie — porozrzucana biżuteria, w powietrzu zaś unosił się subtelny zapach perfum, jej perfum ... Byłem tego dnia dziwnie wzruszony. Usiadłem w fotelu, snując wspomnienia ... Szybko płynęły godziny, i anim się spostrzegł, kiedy nadeszła noc. Zegar zaczął wybijać godziny. Zacząłem liczyć ... Więc to już północ? ... — zdziwiłem się. I nagle, w tej właśnie chwili, przypomniałem sobie, że przecież o tej godzinie Marychna kazała mi zagrać jej ulubionę sonatę i ... czekać na siebie. Powiedziała mi, że przecież przyjdzie, na pewno przyjdzie ... I wtedy zapragnąłem gorąco usłyszeć jej głos, ten głos, którego nie mogłem zapomnieć, a którego tak dawno już nie słyszałem. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, drżącymi z emocji rękoma wyszukałem płytę, jej płytę ... I oto w ciszy nocnej rozległa się pieśń o wielkiej miłości ... Czekałem ze drżeniem. Czy przyjdzie, czy tylko przyjdzie? ... Byłem, jak nieprzytomny ... I oto stał się cud! ... Czy słyszysz, Ryszardzie, cud, coś takiego, czego nigdy, przenigdy nie zapomnę. Usłyszałem jej głos, głos mojej żony, Marychny, i słowa: — „Jestem, Andrzeju, przyszłam do ciebie! ..."

Więc jednak żyjesz, więc nie umarłaś? — rwały mi się słowa radością nabrzmiałe ...

„— Nie, ukochany, ja żyję, jestem przecież tu, obok ciebie ..."

— Widzę, że się uśmiechasz, że mi nie dowierzasz, Ryszardzie, ale to prawda, przysięgam ... Ona przyszła do mnie, mówiła, tuliła na swej piersi moją głowę ... Początkowo myślałem, że to sen, halucynacja, z czasem jednak przekonałem się, że to jednak prawda. Od tego pamiętnego dla mnie dnia, co dzień rozmawiałem z Marychną. Kiedy się jej skarżyłem, że mi bez niej źle na świecie i ciężko, pieściła mnie i pocieszała, każąc mi żyć dla dziecka, dla naszego dziecka.

— I przychodzi jeszcze do ciebie? — zapytałem z niewiarą w głosie.

— Przychodziła, lecz ... wczoraj nie przyszła ...

— Dlaczego, czyżby się coś stało? ...

— Dlaczego? — pytasz. Powiem ci, po to przecież przyszedłem do ciebie. Słuchaj więc ... Przyjaciele moi, nie widząc mnie od dłuższego czasu w klubie, zaniepokoili się. Chcąc się dowiedzieć, co się ze mną dzieje, odwiedzili mnie i tak długo namawiali, bym się nieco rozerwał, że w końcu uległem ich namowom. Wyjechaliśmy za miasto. Dzień był prześliczny. W wesołym gronie przyjaciół i uroczych pań czas szybko mijał i, anim się spostrzegł, kiedy nadszedł wieczór.

„— Czas na mnie — powiedziałem. — Za kilka godzin muszę być w domu."

„— Ależ to się świetnie składa — podchwyciła p. Krystyna K. — I ja muszę być wcześniej w domu, czekają tam na mnie. Zabierze, mnie pan, panie Andrzeju, z sobą, nieprawdaż?"

— Choć, przyznam ci się szczerze, że nie uśmiechało mi się jej towarzystwo, nie mogłem, nie śmiałem odmówić jej prośbie, a w kilka minut potem mknęliśmy szosą w stronę miasta. Byłem dziwnie wesół tego wieczoru. Wino szumiało mi w głowie, a w dodatku obok mnie — pomyśl tylko — urocza, młoda kobieta ... Nagle nie wiem dlaczego, samochód stanął. Czyżby jakiś defekt? — pomyślałem. Ponieważ jednak motor nie działał, wysiadłem z wozu, by zobaczyć, co się stało. Naprawa zajęła mi około godziny. Jeszcze zdążę — myślałem. Wszak to dopiero dziesiąta ... Nie tracąc więc czasu wsiadłem do wozu. Zamierzałem właśnie ruszyć, kiedy na ustach poczułem jej usta gorące, zaborcze, usta Krystyny ... Szarpnąłem się, lecz pieszczota była tak słodka, upojna, że zapomniałem o wszystkim ... Krew uderzyła mi do głowy, a potem, potem oszalałem ... Nieszczęsny, zapomniałem, że przecież tam, w domu czeka na mnie Marychna ... Kiedy wreszcie oprzytomniałem, było po dwunastej. A więc dziś już nie zobaczę się z żoną, dziś już nie będę z nią rozmawiał? ... I wtedy to właśnie, w tej chwili, zrodziło się we mnie jakieś niejasne przeczucie nieszczęścia ...

— I co dalej? — mów — co się dalej stało? — spytałem, nie mogąc ukryć swego zainteresowania.

— Co dalej, co dalej? — pytasz — wyszeptał blady, jak ściana Andrzej. — Marychna więcej nie przyszła, choć błagałem ja, by mi przebaczyła, by zapomniała o krzywdzie, jaką wyrządziłem jej i naszej miłości. Lecz to nie wszystko ... W tydzień potem zachorował nagle syn. ... I umarł, nie odzyskując przytomności. Zostałem sam, sam jeden, opuszczony i nieszczęśliwy. Marychna więcej nie przyszła. Zapomniała o mnie tak, jak ja zapomniałem o niej. Od tego tragicznego wieczoru nie usłyszałem jej głosu i więcej nie usłyszę — wiem o tym ...

— Ależ ty jesteś chory, Andrzeju, — powiedziałem ze współczuciem, kiedy wreszcie skończył swe opowiadanie. To nerwy — nic więcej. Musisz się leczyć, wyjechać gdzieś, rozerwać ... — radziłem mu serdecznie. — Przecież tak nie można. Przecież to, co mi przed chwilą opowiadałeś, to jakiś był, koszmarny sen. Opanuj się więc i — zapomnij.

— Być może, że tak zrobię, jak mi radzisz ... Przykro mi tylko, żeś mnie nie zrozumiał. Ja wiem, że mi nie wierzysz, że nie możesz uwierzyć w to wszystko ... Jest to dla ciebie zbyt fantastyczne i cudowne. A jednak? ...

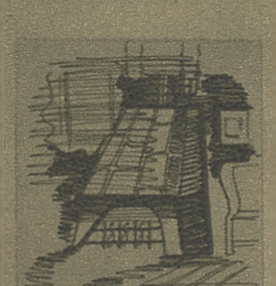
Od tego pamiętnego dnia nie ujrzałem więcej Andrzeja. W tydzień potem dowiedziałem się, że ... dostał pomięszania zmysłów. Podobno, kiedy służący, zaniepokojony dłuższą nieobecnością pana, wszedł do buduaru jego zmarłej żony, zobaczył taki widok: Na podłodze leżały szczątki rozbitego patefonu, a obok z rozwianym, siwym włosem siedział Andrzej, który zbierając skrzętnie potłuczone kawałki płyty szeptał do siebie z uśmiechem: „A jednak wróciłaś do mnie, Marychno, wróciłaś!! ...

... I gdyby mnie kto dziś spytał, co myślę o tym wszystkim, trudno by mi było na to odpowiedzieć. Widocznie dzieją się na świecie rzeczy, o których się filozofom nie śniło ...

Tadeusz Ostrowski

Z PAMIĘTNIKA EWY

BOJĘ SIĘ



To takie nierozumne, a jednak się boję,
kiedy sama zostanę. Pustką tchną pokoje,
ogień pełga w kominku, trzeszczą smolne szczapy,
cienie tańczą po ścianach ... strach wyciąga łapy ...

Za oknem wiatr bezdomny zanosi się płaczem,
coś po pustych komnatach skrada się cichaczem;
skrzypią stare posadzki, a klawikord brzęczy
jakąś dziwną melodię na strunach z pajęczyn.
Dzisiaj znowu grać przyszedł On: — duch tego domu;
spływa pasaż i frazy nieznane nikomu ...

Ogień gaśnie ... znów cicho i tak strasznie ciemno ...
Jakieś tchnienie lodowe, jakiś cień przede mną ...
Kurcz obłędny się wtłacza do gardła przemocą,
w uszach pustka dzwoniąca, w oczach skry migocą,
a do twarzy dwie ręce, jak dwie obłe macki ...
Ach!!!
Trzask kontaktu i światło zalewa pokoje:
— jest w nich cicho, przytulnie ... a ja się tak boję ...

NUDNO



W samotności godzinach, w rozespanej ciszy
tylko serce me bije; nuda się kołysze
niby ćma natarczywa nad światłem wspominań;
zegar wolno wydzwania którąś tam godzinę ...
Czas leniwie upływa, sączą się minuty,
każda chwila w swej pustce cierń nosi zatruty.

Rozrzucone niedbale książki i gazety,
jakiś pasjans zaczęty, płyty, toalety ...

Źle mi bardzo, tak strasznie, wprost nie do zniesienia,
palce gryzę aż do krwi ... I nic się nie zmienia ...
Tak nudno ...

NIENAWIDZĘ



Jakże cię nienawidzę całej duszy mocą,
bo mnie dręczysz dzień cały, wstrętny jesteś nocą;
przejrzysty-ś jako durszlak: – wszystkie twoje gesty,
znam wszystkie twe przywary na pamięć — bez reszty.
A więc:
— i to, że chcesz despotą być, choć — niedołęgą,
i to, że fajką pachniesz, że wertujesz w księgach,
do domu późno wracasz, chrapiesz głośno w nocy,
w negliżu paradujesz, wybałuszasz oczy,
wciąż mlaskasz przy jedzeniu i nóg nie wycierasz ...
Ach, znam to przecież dobrze, dawno, nie od teraz.

Stało się, już nie wróci! ... Jaka wielka szkoda! ...
Spętałeś moje życie, stary — a ja młoda
chcę uciec od szarzyzny, uciec z tego domu —
— nie mogę! .. I tak jestem wrogiem twym — nie żoną.

ZAKOCHANA



W sercu gości niepokój lekki, dziwny, słodki,
przy nim radość do lotu rozwija swe lotki,
bo dziś lustro mi rzekło: — Jesteś piękną, młodą.
Bo dziś — liścik dyskretny, co pachnie przygodą.

W sennym lesie, wśród śniegu, na jasnej polanie
za chwil parę skrzydlatych czeka mnie spotkanie.
Znów go dzisiaj zobaczę: ujmie moje dłonie,
dreszcz gorący mną wstrząśnie, żar w oczach zapłonie,
a on będzie snuł baśnie złote i tęczowe
i całował, całował ...

Nagle ... Co to? Ktoś idzie! Ktoś tupie na schodach.
Tak, poznaję! Mąż wraca! Skończona przygoda ...
— Co, wychodzisz?! A dokąd?... Pozostań, kochanie.
No, pocałuj staruszka — choć na przywitanie! ...

Witold Horodyński

ZE SCEN KRAKOWA

„KRÓLOWA PRZEDMIEŚCIA" NA SCENIE KRAKOWSKIEGO TEATRU

Dużym powodzeniem cieszący się przed wojną, a obecnie wznowiony, wodewil Krumłowskiego — przenosi nas w świat przedmieść dawnego Krakowa; w świat, w którym pod trochę szorstkim obejściem kryją się złote serca.

Przed naszymi oczyma wstają zapomniane już dzisiaj typy dawnych podmiejskich „dygnitarzy": Jest tu pisarz gminny — Majcherek, policjant-halabardnik — Gomółka, jest tu strażak ze szumiastym wąsem, ba nawet fiakier krakowski! Mamy tu również dwóch „andrusów" — Antka i Kantka, pełnych fantazji i szczerego uczucia, którzy swoim zachowaniem się wywołują uśmiech na naszych ustach. Nie brakło nawet — w tej przepysznej galerii — dawnej energicznej przekupki krakowskiej, która jak własną córką opiekuje się biedną sierotą, piękną, pełną dziwnego powabu i czaru, Mańką.

Treść sztuki oparta na prawdziwym zdarzeniu jest dla nas jakby przebrzmiałym echem minionych czasów i obyczajów.

Uroda młodej Mańki czaruje nie tylko okolicznych andrusów, którzy obdarzyli ją epitetem „królowej przedmieścia", lecz także panowie z miasta zabiegają o względy niezwykle powabnej pięknisi. Na tym tle rodzą się najrozmaitsze konflikty i nad pogodnym niebem uroczej Mańki zaczynają gromadzić się czarne chmury. Następuje tragiczna chwila w jej życiu. Zawistni ludzie wyrzucają ją ze Zwierzyńca. Znachodzą się jednak poczciwe istoty i biorą w opiekę biedną dziewczynę. Po licznych perypetiach wszystko kończy się dobrze. Mańka otrzymuje niespodziewany spadek i wychodzi zamąż za „pana z miasta".

Sztuka była bardzo życzliwie przez publiczność przyjęta i oklaskiwana, mimo iż miała tu i ówdzie nieznaczne niedociągnięcia, zwłaszcza gdy się ją porównało z szeregiem innych interpretacji widzianych już dawniej.

Wprowadzony przez reżysera synchronizm przez wstawienie dziś aktualnych kupletów — można kwestionować jako rzecz gustu i ewentualnej dyskusji, natomiast wplecenie najrozmaitszych nowoczesnych „szpagatów" w staromodną polkę — to wyraźnie nieudały eksperyment w układzie choreograficznym.

„Królowa przedmieścia" znalazła w młodej i utalentowanej Halszce Matyczance doskonałą odtwórczynię. Z prawdziwą satysfakcją spogląda się na jej każdy ruch, na każdy gest. Dramatyczny moment sierocej rozpaczy zaakcentowała wspaniale, wykazując pełnię szczerego przeżycia dramatycznej gry. Moment ten jak zresztą wszystkie inne gradacje jej wzruszeń były wnikliwie opracowane i nie posiadały w najmniejszym nawet stopniu szarży, w którą tu wpaść było łatwo. Matyczanka wywiązała się z zadania nadspodziewanie dobrze, dzięki prostocie i bezpośredniości ujęcia, czego ta rola szczególnie wymagała.



Majcherek (Załucki) i Mania (Matyczanka)

Fot. Borek

Majcherek **Załuckiego** — to istne arcydziełko sztuki scenicznej. Za tę mistrzowską kreację należy mu się wiele słów szczerego uznania. Załucki doskonały w geście i intonacji, nie zasłaniał jednak i nie spychał na drugi plan pozostałych postaci, jak to się często zdarza w podobnych wypadkach.

Sekundował mu dzielnie p. **Filus** jako Gomółka. Typ również doskonale opracowany.

Wspaniała była Maciejowa w wybornej interpretacji **Makowskiej.**

Małą rolę ale wspaniale podpatrzoną postać modelki stworzyła **Markowska**, której walory zewnętrzne i niewątpliwy talent aktorski dały się tu szczególnie zauważyć.

Szymkowski i Miciński — potraktowali kreację malarza i literata z właściwym im wdziękiem i lekkością.

Bardzo trafna jest obsada Kantka w osobie **Kondrata**, który wyciągnął ze swego repertuaru jedną z dobrze już obnoszonych postaci i zgrabnie dopasował ją do całości. Szkoda, że ten zdolny artysta komizm swej gry dostosowuje ściśle do miejscowych upodobań.

Rola Antka nie leżała dobrze na **Kassowskim.** Ruchy zbyt taneczne, a gesty — jak nie przystało na dawnego podmiejskiego urwipolcia — za eleganckie. Jest to obsada w całym zespole najbardziej niefortunna.

Bardzo dobrze obmyślaną i przekonywującą postać krakowskiego fiakra dał **Dwornicki.**

Śmiało, z werwą i efektownie interpretował **Targowski** rolę żywiołowego strażaka, obdarzony przy tym dużym i dźwięcznym głosem.

Z dużą swobodą i wnikliwością zagrał adwokata wytrawny aktor **Folański.**

Trudno tu wymienić wszystkich wykonawców, choć niektórzy włożyli w swe małe role sporą dozę pracy i talentu, jak np. **Wnękówna, Stróżyńska, Kuczyński, Hoffman, Moskalewicz, Senowski i inni.**

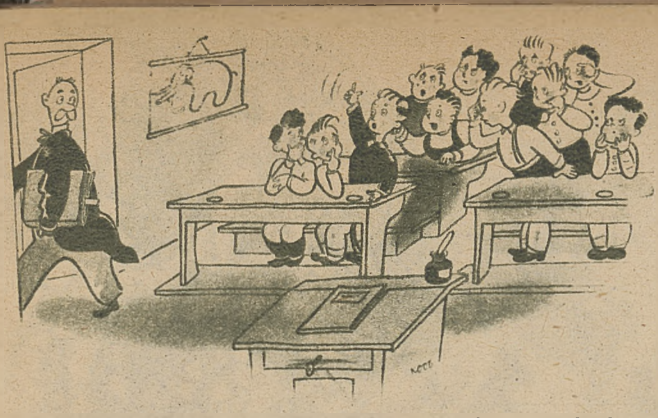
Bardzo miło słuchało się piosenek (doskonały chór z Czopkiem na czele) i ilustracji muzycznej dostosowanej do klimatu sztuki, wykonanej przez doborowy zespół orkiestrowy pod batutą **Syrylly.**

Całość jest naprawdę udatna, barwna i niezwykle miła, podpadająca szczególnie pod rodzimy gust krakowski. Wyrazem tego była żywiołowa reakcja publiczności, której sporo zebrało się na wszystkich spektaklach.

Paliwoda-Matiolański



Na prawo:
Efektowna scena z „Królowej Przedmieścia". Na pierwszym planie: Markowska, Szymkowski, Kondrat i Miciński.



Panie profesorze, pan zapomniał dziś zadać nam do domu zadania z rachunków. Münchner Illustrierte Presse

ROZRYWKI UMYSŁOWE

„GO" JAPOŃSKA GRA NARODOWA

Wielu z czytelników wie, że japońska gra narodowa nazywa się „Go", ale mało kto wie, że jest to gra, która w kombinacyjności nie ustępuje szachom, a przewyższa je choćby w tym, że jest znacznie łatwiejsza do nauczenia. Chcąc poznać czytelników z tą ciekawą grą podajemy jej zasady. Rysunek ułatwi ich zrozumienie, a parę problemów da pojęcie o kombinacyjności gry.

Przybory do gry; może sobie każdy sam zrobić.

Szary karton z kratą z 19 pionowych i 19 poziomych linii, oznaczonych literami i liczbami jak na rysunku, stanowi „teren". Odstęp między liniami 20 mm. Punkty przecięcia linii nazywają się „polami" lub „swobodami". Do gry potrzeba 180 krążków z czarnego i 180 z białego kartonu. Średnica ich wynosi ³/₄ odstępu między liniami czyli 15 mm. Krążki nazywają się „pionierami" lub „osadnikami".

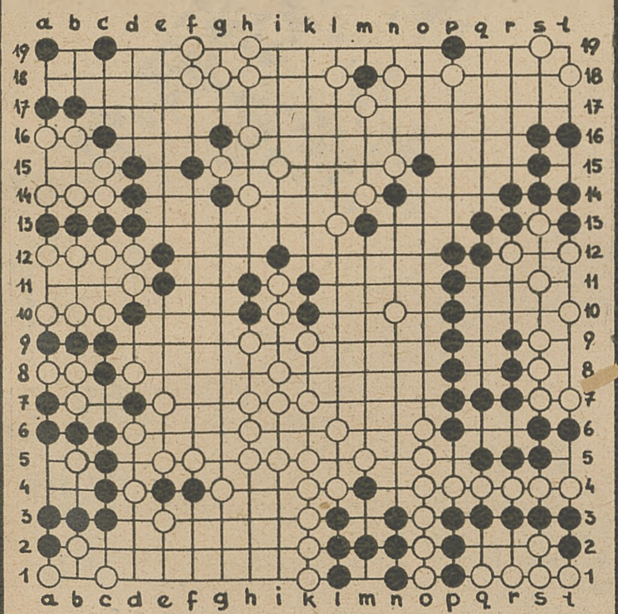
Zasady gry.

Celem gry jest takie stawianie swych pionierów w terenie, aby przez okrążanie zajmować kolonie, lub zabijac pionierów przeciwnika. O wygranej stanowi ilość zdobytych pionierów i pól.

Partię rozgrywają dwie osoby. Czarny rozpoczyna, stawiając jednego pioniera na dowolnym polu pustego z początku terenu. Następnie stawia Biały itd., na przemian. Raz postawiony pionier nie może być przesunięty na inne pole. Każdy postawiony pionier ma połączenie liniami z sasiednimi polami, które stanowią jego swobody. Pionier na polu n10 ma 4 swobody, na polu c1 — 3, a na a19 tylko 2. Pionier, który nie ma ani jednej swobody jest zabity i stanowi łup przeciwnika, który mu je zajął. Czarnemu osadnikowi na m18 Biały zajął 3 swobody. Chcąc uniknąć zguby Cz. stawia na m19, dzięki czemu zyskuje dla swych dwóch osadników dwie swobody. Przez takie łączenie poszczególnych pionierów tworzy się łańcuchy pionowe, poziome i ukośne. Łańcuch ukośny może być łatwo rozerwany, ponieważ pojedynczy osadnicy nie mają połączenia liniami. Łańcuchy, których końce się stykają, lub dochodzą do brzegów terenu tworzą kolonie. Jeżeli łańcuch taki otoczy osadników strony przeciwnej, odbiera im swobody i zabija ich. Tak np. Cz. stawiając na c7 zabija 3 białych a pozostałe po nich pola stanowią jego kolonię. Z tego przykładu widać że: a) pionier, lub grupa pionierów „żyje" jak długo ma choć jedną swobodę; b) pioniera wolno stawiać na dowolnym polu, jeżeli tam ma, lub przez zabicie zyskuje swobodę.

W następnych odcinkach omówimy dalsze zasady, dotyczące tworzenia i zdobywania kolonii, tymczasem podajemy jedno z łatwiejszych zadań: Czarne stoją na a1, a2, a3, d2; Białe na a4, b3, b5. Jak ma stawiać Cz., aby B. nie mógł przeszkodzić połączeniu pionierów a1, 2, 3 z pionierem na d2?

Uwaga: Stawiania notuje się przez podanie litery i liczby pola np. B. o19, Cz. q19, B. q18, Cz. r19, B. r18(3). Liczba w nawiasie oznacza ilość zabitych pionierów. Za rozwiązanie tego zadania przeznacza się komplet krążków do rozlosowania. Termin nadsyłania rozwiązań do 1 sierpnia br.



Rys. 1.



Nie, mego męża nie ma jeszcze w domu! Hamburger Illustrierte



— Henryku czy umiesz nurkować?
— Dlaczego mnie pytasz o to?
— Bo zaraz będziesz musiał to uczynić.

Rys. Gebürsch

OBMOWA

Rzekła raz dama damie:
— Pani bezczelnie kłamie!
To fałsz, to są błazeństwa,
że moja Zosia leniuchem,
że leży sobie tylko wciąż do góry brzuchem
i że się nie nadaje wcale do małżeństwa...
Moja Zosia to anioł! Ona z każdej strony
potrafi się wywiązać z obowiązków żony.

GŁUPIE NARZEKANIA

Któż też to biada, że nie wypada,
Kiedy dziewczynki psocą?
O moi mili, w tej właśnie chwili
cóż ma wypadać i po co?

* * *

Któż to narzeka, że go śmierć czeka?
Jasne jak słońce na niebie,
już byłbyś w grobie, gdyby ta sobie,
nie chciała czekać na ciebie...

Wujcio z Komina

Jeden z moich przyjaciół ożenił się już w podeszłym wieku z młodą dziewiętnastoletnią dziewczyną. Staraliśmy się mu wszyscy wyperswadować ten ryzykowny krok i namawialiśmy, by wziął ślub ze starszą nieco kobietą, gdyż może kiedyś gorzko to odpokutować.

— Małżeństwo w pięćdziesiątym roku życia jest zawsze ryzykiem — odparł nam na to — ale skoro już odważyłem się na nie i stanąłem oko w oko z niebezpieczeństwem, wolę już zginąć od błyszczącego ostrego sztyletu, niż od zardzewiałego widelca.

*

— To twój mąż miał wczoraj imieniny. Cóżeś mu podarowała?

— Och, tak dużo, że nie mógł tego naraz wziąć.

— No, no, co też to było takiego?

— Dwa krawaty.

*

— W twej nowej powieści Marianie, są aż trzy morderstwa.

— Tak. Chciałem ją trochę ożywić.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Burmistrz: — Jakże pan hrabia przepędził dzisiejszy poranek?

Hrabia: — Nadałem historyczną wartość studni w miejskim parku.

Burmistrz: — W jaki sposób?

Hrabia: — Napiłem się z niej wody.

*

Hela mówi do pana Józia:

— Tak, tak panie Józiu rozdałam w życiu już wiele koszów.

— Wierzę pani, panno Helu, miała pani przecież tyle czasu.

*

— Już czwartą noc dziś nie spałem, ani oka zmrużyć nie mogę.

— Niech się pan nauczy boksować. Po pierwszej zaraz lekcji będzie pan miał przez parę dni oczy całkiem zamknięte.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



NA DZIKIEJ PLAŻY

— Patrz, patrz, jak się ta aeroplana wywraca!
— To nie jest ta aeroplana, tylko ten aeroplan!
— Oj, Władziu, ty naprawdę masz dobre oczy, jeżeli na taką odległość potrafisz odróżnić.

Rys. J. Paluch — Kraków

PRZESTROGA MŁODYM

Za młodu słynął z sił,
zuch z niego był na schwał,
lecz palił, grał i pił,
i do bab szczęście miał,
więc kiedy w setnym roku umarł ze starości,
nic już na nim nie było prócz skóry i kości...



— Patrz, najdroższa, gwiazda spada. Chciałbym aby spełniło się życzenie, które sobie teraz pomyślałem.
— No, to dlaczego jeszcze ociągasz się?

Die Woche



Fot: Witzleben i Peters

ogród rododendronów

W uroczym zakątku Alp Piemonckich leży Burcina — najpiękniejszy park naturalny Europy. Rosną tu niezasiane ręką człowieka niezwykle rzadkie rośliny; i to nie tylko okazy floty górskiej lecz także dużo najrozmaitszych roślin poł[illegible]owych. Napotykamy tu wszystkie [illegible] drzewy alpejskie, wszystkie gatunki drzew szpilkowych, a do największych już chyba osobliwości zaliczyć można olbrzymie zgrupowanie rododendronów. Gdy „zakwitną" z „końcem maja" przedstawiają widok jak wyczarowany z tysiąca i jednej nocy. Wtedy jak okiem sięgnąć mieni się od barw kwiatów kwitnących w najrozmaitszych odcieniach. Brak wprost słów na opisanie wszystkich piękności tego iście bajkowego ogrodu Europy.